Nr 81. Kraków, Niedziela 7 Kwietnia 1901. Rok XX.

NOWA REFORMA

„Nowa Reforma“ wychodzi codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt uroczystych.

Prenumerata wynosi:

	rocznie:	półrocznie	kwartalnie:	miesięcznie
W miejscu	24 koron	12 koron	6 koron	2 korony
W Austro-Węg., z przesyłką poczt.	32 „	16 „	8 „	2 kor. 70 h.
W Państwie Niemieckiem	40 „	20 „	10 „	3 „ 50 „
We Włoszech, Francyi, Anglii, Belgii, Szwajcaryi, Turcyi i inn. krajach	48 „	24 „	12 „	4 „ — „

Oddzielny numer kosztuje 10 h., z przesyłką pocztową 12 h.: — we Lwowie w Biurze dzienników A. Olszewskiego ulica Kilińskiego 2 i Plohna, ul. Karola Ludwika 9, do nabycia po 12 h.

Prenumeratę przyjmuje się tylko na cały miesiąc.

Listy z pieniędzmi i przekazy pieniężne na prenumeratę i ogłoszenia (inseraty) uprasza się nadsyłać franco do Administracyi „N. Reformy“ w Krakowie, — Listów niefrankowanych nie przyjmuje się.

Rękopisów nadsyłanych Redakcya nie zwraca.

Adres Redakcyi i Administracyi: „N. Reforma“ ul. Jagiellońska 10.
Telefon Redakcyi Nr 41. Administracyi 401.

Prenumeratę przyjmują:

zamiejscową: Administracya „Nowej Reformy“ i wszystkie urzędy pocztowe; **miejscową:** Administracya „Nowej Reformy“. — Magazyn nowości F. A. Grigara i Główna trafika w Rynku. — Agencya J. Hopcasa i A. Salomonowej, plac Maryacki 2. — Handel St. Karlińskiego, Sukiennice. — Handel Kretschmera, Rynek, — Handel J. Ekiera, ul. Karmelicka 18. — **Zamiejscową prenumeratę i ogłoszenia** przyjmują: Biura dzienników we **Lwowie** Ludwik Plohn, ul Karola Ludwika 11, S. Sokołowski — W **Przemyślu** Hesseles. — W **Jarosławiu** L. Strassberg W **Wiedniu** pp Haasenstein & Vogler (także w Hamburgu, Frankfurcie nad Menem, Berlinie, Lipsku, Bazylei i Wrocławiu). — A. Oppelik, R. Mosse (także w Berlinie Hamburgu, Monachium i Norymberdze). — Hermann Goldschmied, M. Dukes, H. Schalek, J. Danneberg. — W **Paryżu** Société Mutuelle de Publicité A. Lorette, directeur, Rue Caumartin, 61.

Ogłoszenia (inseraty) przyjmuje wyłącznie do tego upoważniony p. **Jan Stryoharski**, Kraków, Jagiellońska 7, za opłatą od miejsca wiersza drobnem pismem (petit) za pierwszy raz 20 h, za każdy następny raz po 10 h. — **Nadesłane** po 60 h od wiersza za każdy raz. — **Nekrologia** po 30 h od wiersza. — **Głosy publiczne** po 1 kor. od wiersza. — **Załączniki** do „N. Reformy“ (prospekty, cyrkularze, ogłoszenia itp.) przyjmuje się za cenę 2 kor. od 100 egz. dla zamiejscowych, a 1 kor. od 100 egz. dla miejscowych prenum. Należytość należy naprzód nadsyłać przekazem pocztowym.

ALLELUJA!

Kraków, 6 kwietnia.

Uderzą dzwony, pieśń radości z ust milionowego ludu uleci w przestworza: alleluja, Chrystus z martwych wstał!

Świat katolicki obchodzi epokowe święto. Skończyło się wśród mąk na krzyżu życie Boga-Człowieka, wstaje z nim razem z martwych wielka, nieśmiertelna idea i odbywa pochód przez stary świat, obala wierzenia tysięcy i tysięcy lat, burzy świątynie, a z niemi pojęcia etyczne i społeczne. Wstała z martwych olbrzymia, nieśmiertelna, święta idea, i rzuciła w świat gorejącą pochodnię nowych przekonań.

Zawrzała walka między starym a nowym światem. Ci, co w świat nieśli naukę Chrystusową, musieli za nią dawać to, co mieli najdroższego: życie. I poniosło to życie w ofierze tysiące ludzi i zagorzały żywe pochodnie w ogrodach cezarów, a dzikie zwierzęta w cyrkach świeżego mięsa ludzkiego przeżreć nie mogły. Legli wielcy apostołowie nowej religii, ale religia została i poszła w świat i zdobyła go szturmem.

Poniewierana, przekręcana, wypaczana i przykrajana do wstrętnych i brudnych celów, pozostała przecież w podwalinach swoich wielką i czystą, bo spoczęła w niej wielka, boska prawda. A nie ginie wielka swoją prawdą myśl, choć zginą jej apostołowie, — i to zjawisko jest tym potężnym czynnikiem, który myśli ludzkiej daje nieśmiertelność, choć życie tak jest krótkie: to jest ten czynnik, który odmładza i odradza ludzkość, wskazuje nowe szlaki, „per aspera“ prowadzi ją „ad astra“ postępowi zapewnia wieczność.

Zmartwychwstanie Chrystusa, to wielkie święto dla ludzkości całej. To święto zwycięstwa prawdy, to święto pocieszenia maluczkich i pokrzywdzonych, zdeptanych bezprawiem. Wstanie z martwych myśl wielka i czysta i zdobędzie prawo! Więc „alleluja!“ wzbija się pod stropy niebios z ust ludu o spracowanych dłoniach, który, miast skargi, cieszy się zwycięstwem myśli, co przyszłość lepszą mu wróży. „Alleluja“ śpiewa uciśniony naród, wyzuty z praw, wyrzucony z świątyń, wygnany w lody północy z ojczystych siedzib, i pocieszony patrzy w chmurną przyszłość.

Zwycięży myśl, ale przez ludzi. I nie zwycięży nasza sprawa, jeżeli nie znajdzie wykonawców, apostołów. Przeszłość poucza nas najlepiej, jakiem winno być to apostolstwo. Nie zapał i nie bezgraniczna ofiarność jednostek wskrzesi nas z martwych, lecz współdziałanie milionów, pozyskanie ich dla wspólnego działania. Giną tysiące, tysiąców dziesiątki i seciny, — zwyciężają miliony. Ale te miliony bojowników narodowych trzeba mieć, trzeba odwalić przygniatający ich piersi głaz, trzeba wskrzesić je, powołać do narodowego życia.

To nasza największa i najszczytniejsza na dzisiaj praca narodowa. Upadło państwo, ale nie umarł naród. Zarzewie jego życia jest jeszcze, ale trzeba je rozpłomienić, aby życiem drgnął naród cały, nie ten lub ów jego stan, nie ta lub owa jego sfera.

Nad tem zmartwychwstaniem, nad tem wyprowadzeniem ludu na szeroką arenę życia narodowego, my wszyscy powinniśmy pracować. Oto nasz „zakon i prorocy“.

A wtedy przyjdzie chwila, że kiedyś uderzą dzwony w wielkie „Alleluja“ i naród, który sam własną odrodził się siłą, wzniesie chorał swego z martwych wstania.

Dziesięcioletnia gospodarka Bobrzyńskiego.

I.

„Fachowe pióro wykaże, jakie zasługi w tem dziesięcioleciu położył w dziedzinie wychowania publicznego p. wiceprezydent Bobrzyński. Wykaże ono, jaki był stan szkolnictwa w chwili, gdy obejmował swój urząd, a jaki jest stan obecnie; o ile i w jakim stopniu podniosła się oświata w naszym kraju; — w jaki sposób nietylko zapobieżono grożącej bardzo poważnie dezorganizacyi szkół, ale je wprowadzono na tory stałego i trwałego rozwoju; wykaże wreszcie, z jaką konsekwencyą i energią realizowano powzięty plan reformy, mającej dać ludności dobrą szkołę, odpowiednich i w dostatecznej liczbie nauczycieli i pożyteczny, racyonalny plan naukowy“.

Słuchajmy dalej:

„Pozostawiamy komu innemu głos dla przedstawienia doniosłości dokonanego przekształcenia wszystkich naszych szkół, organizacyi nadzoru szkolnego, gruntownej reformy planu naukowego, zmiany książek szkolnych, znakomitego powiększenia ilości szkół od najniższych do tych najwyższych, które wchodzą w zakres działania w galicyjskiej Rady szkolnej krajowej, do przedstawienia wreszcie, ile wiceprezydent Bobrzyński zrobił dla polepszenia bytu materyalnego nauczycieli, jak gorącym i żarliwym był obrońcą ich sprawy w Sejmie, chociaż uznanie i wdzięczność zabierali nieraz inni. Kto inny też skreśli doniosłe i trwałe zasługi wiceprezydenta Bobrzyńskiego, położone w dziedzinie szkół średnich“.

Temi słowy powitał „Czas“ (Nr 69) ustąpienie p. Bobrzyńskiego z wiceprezydentury Rady szkolnej i zapowiedział jego apoteozę.

Ażeby zaznaczyć jasno swoje bezstronne stanowisko, oświadczam, iż najzupełniej godzę się z „Czasem“ tak na całą litanię kwestyj, które powinny być omówione, jak niemniej na żądanie, aby tego dokonało „fachowe pióro“. Bo niechże już raz wyjdą na jaw wszystkie zasługi p. Bobrzyńskiego, położone około rozwoju naszego szkolnictwa, aby ludzie wiedzieli, czy mają się smucić, czy cieszyć z jego ustąpienia.

Ponieważ „Czas“ nie spełnił dotąd danego przyrzeczenia, a panegiryki drukowane w zaprzyjaźnionych z konserwatystami pismach, choćby nawet stały w bezpośrednim związku z zapowiedzią „Czasu“, niczem nie dowodzą „fachowości“ pióra, przeto niżej podpisany, jako jeden z fachowców, obserwujących bacznie od samego początku działalność p. Bobrzyńskiego w Radzie szkolnej, podejmuje wezwanie „Czasu“ i kreśli na tem miejscu krótki obrazek dziesięcioletniej jego gospodarki w szkołach ludowych.

* * *

Nim zajmiemy się osobą p. Bobrzyńskiego, sięgnijmy pamięcią wstecz do lat ośmdziesiątych i jeszcze cokolwiek dalej i przypomnijmy sobie stosunki, podówczas w kraju panujące. Nieszczęśliwy obrót ostatniego powstania usposobił wiele czynniejszych umysłów do refleksyi, do zastanowienia się nad przyczynami niepowodzeń naszych zbrojnych ruchów, do obrachunku fizycznej i moralnej siły narodu i wyprowadzania stąd wniosków na przyszłość. — Z obrachunku tego okazało się, że na szesnastomilionową ludność polską jest zaledwie znikoma cząstka świadomych Polaków. — „Do ludu! — rozległy się wołania — uświadomienie tych zapomnianych, „śpiących“ mas to najpilniejsza na dziś praca!“

Hasło to z szybkością prądu elektrycznego przebiegło po kraju, wywołując u lepszej części narodu święty dreszcz zapału. Posypały się składki na zakładanie szkół ludowych, poczęto wydawać pisma i dziełka popularne dla ludu, powstały Towarzystwa oświaty w różnych miastach, Macierz polska, Towarzystwo Kółek rolniczych..., jednem słowem ruch, jakiego nie było ani przedtem, ani potem. Zapał ten udzielił się nawet naszemu Sejmowi. Na sesyach jego pełno rozpraw o szkołach, o oświacie ludu, a w roku 1883 na wniosek Zyblikiewicza zapadła nawet uchwała, by najdalej do 10 lat każda gmina miała własną szkołę. Ciekawa to była sesya ze względu na objawione zdania o szkole ludowej i ze względu na p. Bobrzyńskiego, który nie omieszkał później z niektórych skorzystać, mimo to nikt nie ośmielił się zaprotestować przeciw potrzebie powszechnej oświaty. Hr. Rey wyrzekł wtedy następujące złote słowa: „Im więcej indywiduów, umiejących samoistnie myśleć i działać, wytworzy się na dole, w gminie, w samej podstawie społeczeństwa, tem silniejsze będzie to społeczeństwo i tem łacniej przyjdzie mu przetrwać burze i czarne godziny, jakie na nas Opatrzność spuścić jeszcze może.“ A nawet największy przeciwnik wniosku Zyblikiewicza, prezes Koła polskiego, Grocholski, musiał uznać, że rozwój umysłu powinien być udziałem wszystkich dzieci.

Wskutek tego krzątania się około rozszerzenia oświaty, poczęło się robić w naszych gminach jaśniej. Starsi w czytelniach, Kółkach rolniczych lub na wiecach ludowych, młodzi zaś w szkołach codziennych i dopełniających rozszerzali swoje poglądy. Dowiedziawszy się od nauczyciela, czy z pożyczonej książeczki, że podłoga w izbie i piec z kominem są równie dla zdrowia potrzebne, jak mydło i pokarm pożywny, poczęli się oglądać za takim zarobkiem, któryby wystarczył na te pierwsze zbytki świtającej cywilizacyi. W gminach pojawiają się jednostki, umiejące już — jak chciał hr. Rey — „samoistnie myśleć i działać“. Na zgromadzeniach swoich i w pismach zaczynają one radzić o sobie. W ślad za tem wciska się do Rad powiatowych, do Sejmu i parlamentu jedna za drugą sukmana włościańska...

Szmer niezadowolenia rozszedł się po wielu pałacach, dworach i zawisłych od nich plebaniach. Co to będzie? — pytano z zaniepokojeniem. — Chłop przestaje się już kłaniać tak nisko, jak dawniej, robotnik drożeje, mandat za mandatem przechodzi w ręce włościan lub ich przyjaciół... Hola, coś bo za dużo tej oświaty! Niechże sobie wreszcie będzie, kiedy już być musi, ale niech nie będzie tak szybką, tak dla nas szkodliwą.

Lecz był jeszcze inny kłopot, mający źródło także w oświacie. Oto nauczyciele ludowi, głodni i pognębieni, po latach długiego oczekiwania na sprawiedliwość lub miłosierdzie Sejmu, poczęli coraz śmielej domagać się zwrócenia oczu kraju na swoje upośledzenie społeczne. Zjazdy pedagogiczne, tudzież niezawisłe pisma nauczycielskie, malują w jaskrawych barwach obraz nędzy zapomnianego apostolstwa oświaty. Opinia publiczna poczyna objawiać współczucie dla pokrzywdzonych. Lud sam domaga się poprawy losu swoich nauczycieli.

Otóż i nowy kłopot! Ustąpić pod naciskiem tych krzyków, przybędzie parę centów do każdego guldena podatku; nie ustąpić, to znaczy rzucić nauczycielstwo w objęcia radykalizmu. Źle! Trzeba z tą oświatą zrobić jakiś porządek.

A więc poczęto się zastanawiać nad tem, jak urządzić szkołę ludową, żeby była najmniej szkodliwą dla widoków rządzącego stronnictwa i jakie obmyśleć środki na utrzymanie w karbach burzącego się nauczycielstwa.

Na pierwsze znalazł się sposób w dziejach wychowania. W drugiej połowie XVIII wieku żył sobie poczciwy szlachcic pruski Fr. E. von Rochow, który, ulitowawszy się nad ciemnotą swoich poddanych, zakładał dla nich szkółki na podstawie programu przez siebie wymyślonego. Jedną z zasad jego systemu wychowawczego było: zastosowanie nauki w szkole wiejskiej do przyszłego powołania wieśniaków. Pomysł ten uznano u nas za znakomity i chwycono się go oburącz. Że pochodzi on z czasów i stosunków pańszczyźnianych, kiedy to jedynem zadaniem szkółki wiejskiej było wychowywać dziedzicowi „wiernych“ poddanych, plebanowi zaś modlących się z książki parafian, — cóż to szkodzi? Może to nie postępowo, ale zdrowo... Cóż się bowiem nie da pomieścić w ramach tak pojętej szkoły! Jakże można ścieśnić widnokrąg myśli i pragnień, zwróciwszy je ku przyszłemu powołaniu wieśniaka i zamknąwszy je w szczupłych granicach chaty, obory, sadu, pasieki, a co najwyżej gminy! Niech tam sobie gdzieindziej szkoły ludowe wychowują człowieka na człowieka i obywatela, nasze powinny wychowywać tylko na gospodarzy, fornali, dziewki stajenne i inną służbę.

Gdy się tak obniży poziom wykształcenia dziatwy, nie będzie potrzeba zbyt uczonych nauczycieli. Za obniżeniem poziomu ich inteligencyi pójdzie także obniżenie ich wymagań, czego koniecznem następstwem musi być upadek ich znaczenia, a tem samem i wpływu...

Projekt był gotowy, kto wie, czy już nie od r. 1883 — brakowało tylko pojętnego, a przytem sprytnego wykonawcy. Ale gdzie go szukać? Kto się zechce podjąć tej ważnej, a tak pełnej odpowiedzialności „misyi“? Wziąć zdeklarowanego konserwatystę, obudzi zaraz nieufność, powołać znów „nie swojego“, to gotów zabawić się w Wallenroda i zbakierować całą sprawę. Nareszcie oko naczelników stronnictwa padło na dra Michała Bobrzyńskiego. Zdolny profesor uniwersytetu, historyk o wybitnym indywidualizmie, poseł wymowny i śmiały, a przytem żądny czynu i sławy, konserwatysta wprawdzie, ale jeden z tych, co to lubią, by ich „dzikimi“ nazywano — mógł być p. Bobrzyński uważany za jedynego, za „opatrznościowego“ człowieka do przeprowadzenia w szkolnictwie reform w duchu powyższego projektu. Ale czy przyjmie tę pełną odpowiedzialności „misyę“, czy podejmie się roli, trącącej grubo machiawelizmem, czy zechce pójść w służbę wstecznictwa?

Niestety! przyjął — podjął się — poszedł...

Kość z Kości.

Korespondencya „Nowej Reformy“.

Poznań, 4 kwietnia.

(Proces w rodzinie hr. Kwileckich. — Nominacya Jagowa i przywiązane do niej nadzieje. — Mowca z Bożej łaski).

Senzacyjna sprawa, o której sobie towarzystwo tutejsze opowiadało anegdotki przez całą zimę, rozegrała się 30 marca b. r. przed tutejszym sądem ziemiańskim: Majątek Wróblewo, należąca do hr. Zbigniewa Węsiersko-Kwileckiego jest ordynacyą i jako taka, w razie, gdyby obecny właściciel nie pozostawił potomka płci męskiej, przejść miał po śmierci jego na hr. Hektora Kwileckiego z Kwilcza. Hrabia Hektor uważał się już za przyszłego właściciela Wróblewa, gdyż hrabiostwo Węsierski-Kwileccy mieli same córki, a byli już podeszli w latach.

Tymczasem przed czterema laty urodził im się syn, gdy ostatnia córka miała już lat 16. Cóż dziwnego, że domniemany spadkobierca majoratu okazał się niewiernym Tomaszem! Hrabina Węsiersko-Kwilecka miała już lat 50, a w dodatku akt urodzenia małego ordynata odbył się nie w Wróblewie, tylko w Berlinie, w prywatnem, najętem mieszkaniu. Lekarza żadnego przy akcie nie było, a akuszerka, sprowadzona z Warszawy, wkrótce potem u-

Z uwag pesymisty.

(Dlaczego mój przyjaciel nie poszedł na wiec. — Obawy przed socyalistami i wygodnictwo osobiste. — Zgromadzenia bez uczestników i bez dyskusyi. — Obawy urzędnika. — Urzędnicy u nas i w innych krajach. — Gmach Towarzystwa sztuk pięknych. — Secesya wiedeńska i Towarzystwo sztuk pięknych. — Do kogo mam pretensyę.)

Właśnie rozkoszowałem się widokiem srodze przez ogrodnika miejskiego pokaleczonych kasztanów, które padają najwidoczniej ofiarą systemu tak, jak nieprzymierzając dzieci polskie w szkole niemieckiej, wyginane w myśl szablonu politycznego, gdy spotkałem, w czasie przechadzki po plantacyach miejskich, jednego z tych moich przyjaciół politycznych, co bardzo mnie kochają, ale nigdy na prawdę pod względem politycznej roboty nie mogą się ze mną pogodzić. Oni czują i przyznają mi, że trzeba walczyć z konserwatystami i piórem i robotą publiczną; ale jak się tylko rzecz ostro postawi, zaraz dostają dreszczów, skrupuły zaczynają im dojadać do żywego, sny niespokojne ich trapią; jednem słowem doznają niemiłego w całym swoim procederze myślenia zamętu. A już najgorzej, gdy się coś robi. O! Wtedy stają się niesłychanie krytyczni, windują się na najwyższy szczebel społecznego obserwatoryum i stamtąd dają sygnały... czego nie robić.

Po wymianie powitań i krótkiej rozmowie na temat wojny w południowej Afryce, przeszliśmy od razu do wiecu krakowskiego, który dopiero co się odbył.

— Byłeś pan na wiecu? zapytałem.

— A mnie tam po co? — odpowiada mój towarzysz przechadzki. Będę się tam pchał w taki tłum ludzi, między socyalistów, aby słuchać ich wymyślań...

— Przedewszystkiem, — odpowiadam — tam, gdzie się tysiąc ludzi zmieściło i pan byłbyś się zmieścił znakomicie. A darujże pan znowu, ale na wiec powszechny, jak wogóle na publiczne zgromadzenie, mają wstęp wszyscy pełnoletni obywatele.

— Tak, i wszyscy muszą słuchać socyalistów.

— Ha, powiadam, jeżeli nikt nie chce mówić, oprócz socyalistów, a tylko każdy chce słuchać, to naturalnie ci mówią, co się zapiszą do głosu. Ale przecież zwykle tak się nie dzieje, a na wiecu wczorajszym różni ludzie mówili.

— Już ja tam panu dziękuję. Będę się narażać na to, żeby mnie wymyślał Daszyński, lub Misiołek. Wolę sobie potem przeczytać w gazecie, coście tam robili.

— Mój panie, — powiadam na to, — jeżeli tak, jak pan, pomyśli i zrobi dwieście ludzi, toż nie dziwcie się, że na publicznych zgromadzeniach będą mieć przewagę ci, co przyjdą; a że socyaliści takie zgromadzenia biorą na seryo, — przychodzą i głos zabierają, to wy jesteście winni, gdy potem o zgromadzeniach publicznych mówi się, że mają charakter socyalistyczny. Przecież zgromadzenie przestałoby być zgromadzeniem, gdyby się nikt nie gromadził, a dyskusyi także nie byłoby, gdyby nikt nie chciał mówić. Kto więc przyjdzie, ten gra rolę taką, na jaką się zdobędzie.

Na ten temat toczyła się rozmowa, gdy przyłączył się do nas trzeci towarzysz.

— Ale wytłómacz mi, — zwraca się do mnie, — dlaczego „z naszych“ stosunkowo mało kto głos na wczorajszym wiecu zabierał?

— A dlaczegóż ty nie zapisałeś się do głosu?

— Z bardzo prostego powodu, — odpowiada, — bo nie przyszedłem.

— Tak, powiadam, i na wiec nie przyszedłeś i nawet na posiedzeniu komitetu się nie pokazałeś, pomimo że ci posłałem zaproszenie z osobnym dopiskiem.

— Ależ, mój kochany, — broni się mój przyjaciel, — ja wiedziałem, że i bezemnie będzie wojna.

— Otóż to macie panowie, — odcinam się, — naszą t. zw. „obywatelską“ czy tam „mieszczańską“ robotę! Przecież to ręce opadają i można obrzydzenia dostać do życia publicznego. Jeden ogląda się na drugiego, każdy kontent, gdy tylko może odsunąć się od jakiejś trochę fatygującej roboty, a potem cisami ludzie dziwią się, gdy na plakatach i na zgromadzeniach figurują wiecznie jedne i tesame nazwiska.

— To już daruj — powiada mój przyjaciel — ale ja, jako urzędnik, nie będę się podpisywać na plakacie. Alboż ja wiem, jakby tam „w górze“ na to patrzyli?...

— Widzisz, mój drogi, — ja na to — w ten sposób wy, urzędnicy w Galicyi, wyrządzacie sobie sami wielką krzywdę. Czegoś podobnego nie robią urzędnicy w żadnym innym kraju i używają wolności obywatelskiej, której wy się sami pozbawiacie. Rzecz naturalna, że gdy ty sam jeden z całego waszego biura podpiszesz się na plakacie, zwołującym publiczne zgromadzenie, to możesz przez to zwrócić na siebie uwagę swojego szefa. Ale gdyby was podpisało się sześciu lub dziesięciu, to tensam szef dziwiłby się już tylko, dla czego drugich dziesięciu się nie podpisało.

— Zlituj się, — wyprasza się mój przyjaciel — jakże ja mam zwoływać wiec, na którym będziecie piorunować na rząd i na Koło polskie? Przecież ja jestem urzędnikiem.

— No, — powiadam — gdybyś to postawił jako zasadę, to przyznasz, że urzędnik przedewszystkiem nie powinien być posłem. A przecież z urzędników wielu już było tęgich, opozycyjnych i to nawet skrajnie opozycyjnych posłów. I nie zepsuli sobie przez to nawet swojej karyery urzędniczej. Jeżeli wy, tutaj w Galicyi, zaczniecie oglądać się „na górę“ i odsuwać się jeden po drugim z życia publicznego, to zupełnie zdyskredytujecie tę wolność osobistą, którą wam dają ustawy na równi z innymi obywatelami państwa.

Wśród tej pogawędki obeszliśmy część plantacyj i życzeniem wesołych świąt pożegnałem towarzyszów przechadzki. Czy się tam w przyszłości poprawią, nie wiem, bo choroby galicyjskie są wogóle bardzo uporczywe.

Dochodziłem do Placu Szczepańskiego. Uczułem onegdaj pewien wyrzut sumienia, gdy jeden z młodych naszych architektów czynił mi wymówki, że jeszcze przed wykończeniem gma- Towarzystwa sztuk pięknych, ujemny sąd o nim wydałem. Przypatrzę się teraz temu budynkowi — pomyślałem — i obszedłszy go w koło, ruszyłem na środek Placu Szczepańskiego, potem ku Rynkowi i przypatrzywszy się mu ze wszystkich stron, nie mogłem wyjść ze zdumienia, że na punkcie architektury tak proroczym byłem obdarzony duchem.

Za znawcę uchodzić nie chcę; ale mam prawo wypowiedzieć sąd, jako jeden z tego szarego tłumu, na który także dzieło sztuki powinno oddziaływać; jako jeden z tych „mydlarzy“, których p. Przybyszewski odsądził zupełnie od udziału w rozkoszach estetycznych, ale którzy mimo to nie przestaną i nadal także tworzyć pewnego zbiorowego ciała, wydającego sąd o sztuce. To może być, zdaniem p. Przybyszewskiego, wielkiem nieszczęściem dla pewnych chorobliwych rodzajów sztuki, ale to jest zjawiskiem, którego nie obalą wszyscy secesyoniści i impresyoniści razem wzięci.

Otóż ja mam żal, a przypuszczam, że w tym żalu znajdę więcej uczestników, nie do artysty, który dał pomysł do budowy gmachu Towarzystwa sztuk pięknych w Krakowie, i nie do „jury“, która go premiowała, ale do Rady miejskiej, że taki gmach postawić pozwoliła na miejscu tak pryncypalnem. Bo architekt, jak każdy artysta, daje pomysł, jaki mu przynosi wyobraźnia lub wiedza, albo obie razem; „jury“ może także jednostronnie patrzeć się na dzieło sztuki, — ale Rada miejska powinna była wyrobić sobie i dać wyraz tego „przeciętnego“ sądu, na jaki zdobywa się ogół niezawodowych architektów, ale ogół, ku którego zadowoleniu powinno się, bądź co bądź, stawiać gmach publiczny, z funduszów publicznych stawiany na miejskim placu. Człowiek prywatny, na zakupionym od drugiego prywatnego obywatela gruncie, niech się popisuje skrajnemi kierunkami architektury; w wielkiem mieście może to nawet budzić ciekawość. Ale gmach publiczny, i to wystawiony dla dzieł sztuki wogóle, jako takiej, a nie specyalnie jednego jej kierunku, nie powinien być wyrazem właśnie tego skrajnego kierunku.

Secesya wiedeńska wystawiła także gmach cudacki. Może on jednych razić, drugim się podobać; ale on odpowiada swemu przeznaczeniu, swej treści, bo on przeznaczony jest dla dzieł sztuki, hołdującej t. zw. secesyonizmowi. Więc dla nikogo nie jest niespodzianką, że dzieła secesyi ujrzy w gmachu także secesyjnego pomysłu. Ale krakowskie Towarzystwo sztuk pięknych to przecież nie „secesya“...

I jeszcze jedna rzecz. Budynek wiedeńskiej „Secesyi“ jest przynajmniej pomysłowym; może on się komus wydać cudackim, ale, bądź co bądź, nie jest brzydkim. Tymczasem gmach krakowski nikogo nietylko nie zachwyci, ale nawet nie zdziwi, a zgorszy z pewnością bardzo wielu. Niechby sobie, powiadam, jakiś magnat lub prywatny przedsiębiorca wystawił, i to nie na Placu Szczepańskim, taki pałac lub pawilon sztuki. Ale Rada miejska powinna była powstrzymać Towarzystwo sztuk pięknych w takich zapędach.

Na tle starego, krakowskiego, wspaniałego gotyku i renesansu, o paręset kroków od kościoła Panny Maryi i Sukiennic, — jakżeż okropnie odbija ta niesmaczna budowa, z której o sto kroków jeszcze nikt się nie domyśli, co ma wyobrażać i do czego służyć.

Ale dość tego; gmach musi już zostać takim, jakim jest; to nie przeszkodzi, aby w nim gromadziły się coraz doskonalsze dzieła sztuki polskiej, dla której zawsze wielki czuję respekt.

M. K.

marła. Zaczęto mówić o tym rozmaicie; zwłaszcza dotychczas za następcę w ordynacyi uważany hr. Hektor głosił otwarcie, że całą historyę chciwa hrabina udawała, a dziecko zostało podsunięte. Ostatecznie mały ordynat zmuszony był zapośrednictwem opieki skarżyć boczną linię Kwileckich o przyznanie mu praw do majoratu.

Proces toczył się od 9 rano do 8 wieczorem. Przesłuchiwano 15 świadków i rzeczoznawców, nawet 4-letni oskarżyciel przedstawił się sądowi. Postępowanie dowodowe odbyło się z wykluczeniem publiczności. Dowody były dla skarżącego wystarczające. Okazało się, że hrabina została w Berlinie przedwczesnem rozwiązaniem zaskoczoną, a telegraficznie zawezwany lekarz domowy, przybył już po akcie. Wyrok zapadł na oskarżonego zaocznie, a zatem dla skarżącego pomyślnie; być jednak może, że oskarżony jeszcze raz sprawę podniesie. Szczegółowy opis procesu zamieściły tylko tutejsze pisma niemieckie.

Hakatyści święcą tryumf wielki: Oto p. Jagow, dawniejszy prezes regencyi poznańskiej, zażarty wróg polskości, osławiony inicyator zakazywania prywatnej, bezpłatnej nauki języka polskiego, został mianowany prezesem regencyi Kwidzyńskiej w Prusach Zachodnich. P. Jagow należał do tych urzędników, którzy będąc posłami, swego czasu głosowali przeciwko ustawie kanałowej i za to poszli w odstawkę. Po kilku latach wszyscy ci krnąbrni zostali przywróceni do łask królewskich, a nawet. jak się pokazuje, otrzymują urzędy, będące niejako popisowemi. To też pisma hakatystyczne głoszą z radością, że p. Jagow okaże się godnym zaufania, że w Prusach Zachodnich powstrzyma nawały polskości i skutecznie wesprze uciśnioną niemczyznę. Oj będzie on używał! Towarzystwa i zebrania polskie, zakonnice katolickie, prywatna nauka czytania i pisania polskiego, książki do nabożeństwa przez kolporterów sprzedawane i t. p. zbrodnie, oto wdzięczne i żyzne pole działalności i popisu p. Jagowa.

Krzywili się hakatyści na kanclerza p. Bülowa, podejrzywali go ciągle o jakieś skryte zamiary łagodniejszej „Polenpolitik", nawet gdy publicznie ogłosił, że Polacy poczują twardą jego rękę, niedowierzali mu. Po zamianowaniu jednak p. Jagowa owym taranem, druzgocącym polskość w Prusach Zachodnich, odetchnęli z ulgą. Wątpić jednak się godzi, czy nareszcie zaśpiewają „Lieb Vaterland, magst ruhig sein" albowiem zadaniem ich jest ciągłe szczucie na Polaków.

Obecny cesarz Wilhelm II jest mówcą z „bożej łaski", a talentu tego używa w tak obfitej mierze, że wątpić się godzi, czy wszyscy monarchowie pruscy dotąd, razem wzięci, tyle wygłosili wyrazów, co on sam jeden. Prosta rzecz, że przy takiej obfitości mówienia trzebaby wyjątkowo i z „bożej łaski" być mądrym, aby czegoś niepotrzebnego nie wygadać. A cesarzowi Wilhelmowi gada się... samo, ku pociesze, to znów irytacyi jego poddanych.

Pisma niemieckie komentują ostatnią mowę cesarza, wygłoszoną do pułku huzarów przy okazyi przeprowadzki tego pułku, i komentarzom nie ma końca. Cesarz wyraził nadzieję, że pułk nie odstąpi go, chociażby mu nawet przyszło „strzelać do krnąbrnych Berlińczyków" i że okaże się mężnym, chociażby Niemcy opuszczone zostały przez wszystkich swych sojuszników.

„Dziennik Poznański", traktujący z urzędu politykę wielkoświatową, chociaż nie zawsze szczęśliwie, wdał się także w tłomaczenie mowy cesarskiej i doszedł do przekonania iż cesaz boi się Polaków(!) i dla tego wszędzie widzi widmo rewolucyi. Przestrzega przeto „Dziennik" hakatystów, aby oszczędzali swego cesarza i nie straszyli go Polakami.

Już to „Dziennik" ciągle kogoś przestrzega. Przestrzega Niemców przed radykalizmem polskim, przed agitacyą na Śląsku, przed panslawizmem, teraz jeszcze przed zbytniem straszeniem cesarza. Dziwią się rozmaici tej roli, jaką „Dziennik" takiem życzliwem przestrzeganiem odgrywa. Czy nie są to reszki amunicyi polityki ugodowej? Dawniej się Niemcom zchlebiało i czyniło mu ustępstwa, teraz ich się straszy i — przestrzega.

Kwaśne winogrona.

Stara bajka o lisie, który zrezygnował ze zdobycia winogron, nie mogąc się do nich dostać, sprawdza się zarówno, dobrze w życiu codziennem jak i w polityce. Oto n. p. Rosya postanowiła sobie zabrać Mandżuryę, nie pytając się naturalnie nikogo o pozwolenie, a gdy to się jej nie udało, udaje, że Mandżurya wcale jej bezpośrednio nie obchodzi. Takie wrażenie odnosi się z komunikatu rosyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych umieszczonego w „Praw. Wiestniku", a ogłoszonego wczoraj.

Rozpoczyna się ów komunikat od chronologicznego zestawienia wszystkich szczegółów rokowań pokojowych w Tientsinie i Pekinie, następnie zaś wyjaśnia stanowisko rządu rosyjskiego w kwestyi chińskiej, a właściwie Mandżuryi. Odnośny ustęp brzmi w ten sposób:

W oczekiwaniu szybkiego rozwiązania kwestyj, dotyczących wzajemnego stosunku mocarstw w Chinach, rząd rosyjski uważał za stosowne zająć się uregulowaniem stosunków i zaprowadzeniem porządku w sąsiedniej prowincyi Chin, z któremi Rosya graniczy na przestrzeni 8000 wiorst. Dla osiągnięcia tego celu rosyjskie władze wojskowe zawarły najprzód z gubernatorami (ciancin) trzech prowincyj mandżurskich układ pisemny, odnoszący się do ustalenia „modus vivendi" i do przywrócenia miejscowych władz cywilnych chińskich. Następnie rząd rosyjski, rozważywszy ściśle wszystkie okoliczności, opracował program osobnego układu z Chinami, który umożliwiłby stopniowe przywrócenie porządku, opuszczenie Mandżuryi, jakoteż wprowadzenie w życie czasowych zarządzeń w tej prowincyi, mogących zapobiedz na przyszłość podobnym wypadkom, do jakich przyszło w roku ubiegłym.

Niestety w prasie zagranicznej rozszerzano alarmujące pogłoski w celu wydrażnienia opinii publicznej przeciw Rosyi, podawano fałszywe teksty układu, odnoszącego się do protektoratu nad Mandżuryą i naumyślnie rozsiewano nieprawdziwe wieści o rzekomym układzie Rosyi z Chinami. Tymczasem porozumienie się z Chinami miało służyć jako podstawa do zwrócenia im Mandżuryi, którą wojska rosyjskie obsadziły w roku ubiegłym skutkiem niepokojących wypadków.

Aby módz przystąpić do odpowiednich zarządzeń wojskowych było koniecznem rozstrzygnąć pytanie, czy Rosya — w myśl porozumienia z Chinami — może już teraz wycofać swe siły zbrojne z Mandżuryi. Wedle otrzymanych jednak wiadomości, porozumienie podobne z Chinami nie mogło przyjść do skutku, a tem samem stopniowe opuszczenie Mandżuryi przez Rosyę stało się niemożebnem.

Co się tyczy ostatecznego oddania Chinom tej prowincyi, to jest ono zależnem od tego, czy centralny rząd chiński powróci do stolicy i czy będzie na tyle silny i niezawisły, aby mógł dać gwarancyę Rosyi, że nie powtórzą się wypadki z ubiegłego roku. Zatrzymując na razie obecną organizacyę w Mandżuryi, rząd rosyjski pozostanie wierny swemu pierwotnemu porywowi, wyczekując spokojnie przebiegu dalszych wypadków.

Klucze żórawi.

Górą, na tle błękitu niebieskiego, poczynają się pojawiać coraz gęściej ściągające się do nas z powrotem stadami wędrowne ptactwo, a dołem, różnemi szlakami, najczęściej przez dworce kolejowe, odpływają stada ludzi z głośnym „klangorem", niby stada żurawi.

To zwykła doroczna emigracya z wiosennem słońcem odżyła, a odżyła ze zdwojoną siłą. Z zachodniej części kraju wzmogła się emigracya zarobkowa do Prus, a z wschodniej już dotychczas około 15.000 ludzi wyemigrowało na stałe osiedlenie do Bośnii.

Wywołało to naturalnie zaniepokojenie wśród większych właścicieli ziemskich, ktorzy, podniósłszy lament, że zabraknie im robotnika do roli, nie nauczywszy się nic i nic nie zapomniawszy, znaleźli na to jeden środek: zwrócić się do władzy, aby środkami administracyjnemi zdusiła ten ruch żywiołowy.

Jesteśmy przeciwni wszelkiemu jednostronnemu pojmowaniu sprawy i nie uznajemy bezwzględnego apoteozowania emigracyi dlatego tylko, że emigrantom będzie lepiej w obcej stronie, boć tu trzeba brać wzgląd i na interes kraju, tak tem bardziej jeszcze nie możemy uznać za dostateczny powód do zduszenia jej przemocą kwestyi taniego robotnika dla właścicieli większej własności!

Zresztą jestto, jak powiedzieliśmy ruch żywiołowy, a takiego nie da się sztucznie usunąć. Podnieść intenzywność gospodarstwa rolnego a przez to zarobków ludu, podnieść ruch przemysłowy w kraju, równocześnie zaś stworzyć legalną opiekę nad emigrantami, aby ich nie wyzyskiwano, a emigracya cofnie się do naturalnych mniejszych rozmiarów. Prawda! do tego potrzeba wiele, bardzo wiele zrobić, trzeba prowadzić zupełnie odmienną politykę w Wiedniu niż ją Koło polskie prowadzi, ale też to jedyny środek, aby klucze emigracyjnych żurawi przestały być postrachem naszego kraju!

Tyle na razie czujemy się w obowiązku zaznaczyć w kwestyi, która grozi, że w tym roku, więcej jeszcze może niźli lat poprzednich będzie zajmowała opinię publiczną.

Kronika.

Kraków, 6 kwietnia.

Następny numer „Nowej Reformy", z powodu przypadających dwóch świąt wielkanocnych, wyjdzie dopiero we wtorek wieczorem o zwykłej porze.

Świąteczny dodatek literacki do numeru 81 „Nowej Reformy" zawiera:

1) Michała Bałuckiego „Stary kościelny", szkic powieściowy; 2) Antoniego Langiego „Don Ramon Campo Amor", studyum literackie; 3) Henryka Jossego „Kulturtraeger", sylwetka; 4) Utwory poetyckie Adeli Bandrowskiej; 5) Romana Zawilińskiego „Z przeszłości Dubrownika"; 6) Lucyny Ćwierczakiewiczowej „Wczoraj a dziś" (Z wiośnianych dni); 7) Edwarda Strumpfa „O kwiatach".

Wielkanoc jest świętem publicznem w przeciwieństwie do Bożego Narodzenia, które posiada cechy święta rodzinnego. Pomijamy oficyalne „święcone", na które z obowiązku iść muszą niektórzy ludzie, a mówimy tylko o tem „święconem", na które ze względów towarzyskich wędrujemy od domu do domu. Gospodyni domu pragnie, ażeby goście ze wszystkiego choćby tylko pokosztowali, gospodarz argusowem okiem pilnuje, ażeby ktoś nie zostawił przypadkiem niewypitego kieliszka, goście zaś nawzajem, wstrzemięźliwi przy pierwszem, drugiem trzeciem „święconem" dają następnie folgę żołądkowi.

Szczęśliwszym jest kronikarz „Nowej Reformy", który nie potrzebuje chodzić po „święconem", gdyż za pośrednictwem dziennika składa wszystkim czytelnikom, korespondentom i przyjaciołom „Nowej Reformy" życzenia: aby Wam wszystkim i Waszym rodzinonom dobrze się wiodło.

Odezwa. Kiedy zdradziecki a przemożny wróg przebrawszy miarę w pysze i gwałtach szarpał nieprawnie dzielnice Piastowe, na okrzyk trwogi ciągnęły zewsząd zastępy zbrojne niosąc ofarnie krew swą i mienie. Epopeję z tych bohaterskich zapasów kończy autor „Krzyżaków" wielkiemi słowy pietyzmu narodowego: „Cześć ci krwi ofiarna!" Dziś chociaż w odmiennych warunkach, stoimy znowu wobec tegosamego wieczystego wroga polskości, który na kresach dzielnic ojczystych nie przybierając w środkach, grozi zagładą duchowi narodowemu, językowi, obyczajom ojców i tej jasnej przeszłości dziejowej, ku której zwracamy z utęsknieniem oczy nasze i serca.

Jedynemi strażnicami tych skarbów ostatnich są szkoły polskie na kresach, ale te dla braku funduszów nie mogą przeciwstawić dostatecznej odpornej siły potężnej, jednością celów falandze germanizatorów. Zatem jak niegdyś ojcowie nasi ku obronie zagrożonych dzielnic Rzeczypospolitej rozsyłali wici po kraju, wołając: „do broni! do broni!" My zagrożeni w naszych ideałach narodowych z pierwszą wiosną stulecia z palmową wicią Zmartwychwstania Pańskiego wołamy do pracy! do ofiarności! Na rzecz gimnazyum polskiego w Cieszynie! Na szkołę królowej Jadwigi w Zwardoniu! Wołamy do wszystkich Polaków obywateli, którym cześć imienia polskiego na sercu leży, by przy tradycyjnym obchodzie ojców naszych, życząc sobie wzajemnie wytrwałości w cichej i pożytecznej pracy pospieszali na pomoc z gorącą wiarą w przyszłość zagrożonym losom szkół polskich na kresach. Oby przyszłe pokolenia powiedzieć o nas mogły jak ongi o tamtych: Cześć ci cicha ofiarna a niespożyta praco społeczna! *Koło pań Towarzystwa szkoły ludowej w Krakowie.*

Tramwaj elektryczny w Krakowie. Napotrącawszy — omal nie przejeżdżając na śmierć — wiele osób w mieście, wczoraj znowu w Rynku głównym o godz. 7 wieczorem jeden wagon tramwaju, idący od dworca do miasta, zaczepił na krzyżowaniu się linii o wóz, dążący do parku krakowskiego. Zderzenie się wagonów powstało wskutek tego, że „motorowy" jednego z wozów nie zjechał z linii na czas przed wjechaniem na nią wozu drugiego. Wstrząśnienie było dość silne, pasażerowie przestraszyli się, szczęściem nie odniósł nikt poważniejszego uszkodzenia ciała.

Koło nauczycieli szkół wyższych w Krakowie. Przedmiotem obrad na posiedzeniu dnia 30 marca i kwietnia był kwestyonaryusz w sprawie nauki języka polskiego w gimnazyach. Wyczerpujący referat prof. Stan. Koprowicza posłużył za podstawę obszernej dyskusyi, w której rozważano po kolei plan i rozkład materyału na poszczególne klasy, metodę i podręczniki dziś używane. Uznano zgodnie potrzebę reformy w zakresie materyału nauki.

Dla niższych klas domagano się wypisów, któreby w znaczniejszej mierze treścią swą przyczyniały się do etycznego wykształcenia, a dla obudzenia żywszego zajęcia u młodzieży mieściły w klasach III i IV wyjątki większych rozmiarów, stanowiące organiczną całość. — W nauce historyi literatury w klasach wyższych uznano za konieczne znaczne ograniczenie materyału historyczno-politycznego i historyczno-lierackiego oraz usunięcie wyjątków z dzieł podrzędnych pisarzów na rzecz gruntownego poznania arcydzieł w całości; natomiast żądano rozszerzenia materyału do czasów najnowszych. — Podręcznik do gramatyki, używany dotąd, należałoby zastąpić innym, któryby odpowiadał dzisiejszemu stanowisku nauki i uwzględniał historyczny rozwój języka. — W całej nauce winna przyświecać myśl, że cel dydaktyczny da się osiągnąć snadniej przez gruntowność nauki, niż obszerny zakres lektury.

Nauka jazdy na kole została już w „Sokole" otwartą i będzie prowadzona pod dozorem zarządu oddziału kolarskiego. Inwentarz maszyn został odnowiony, boisko przygotowane tak, że należy obecnie do najlepszych boisk do nauki.

Wpisy przyjmuje kancelarya „Sokoła" codziennie od godz. 7 wieczorem z wyjątkiem świąt i niedziel. Sześć lekcyj dla członków Towarzystwa kosztuje 3 korony, dla nieczłonków 6 koron.

Towarzystwo samopomocy lekarzy wydało odezwę, w której zawiadamia kolegów, że chce stworzyć fundusz zapomogowy, objąwszy na mocy układu z Towarzystwem wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie czynności agencyi działu życiowego.

„Wzywamy przeto gorąco i upraszamy najusilniej wszystkich kolegów — czytamy w odezwie — aby mając zamiar ubezpieczyć siebie lub członków swojej rodziny, czynili to jedynie i wyłącznie za pośrednictwem wydziału Towarzystwa samopomocy. A ponieważ za naszem pośrednictwem ubezpieczać się mogą wszyscy, nawet nie lekarze, tak samo, jak w każdej agencyi i na tych samych zupełnie warunkach, przeto prosimy was koledzy, abyście wpływali na swoich znajomych, żeby i ci także asekurując się, korzystali z naszego pośrednictwa. Dla zabezpieczającego się jest zupełnie obojętnem przez kogo się asekuruje, nie obojętnem jest to jednak dla pośrednika, który od kapitału zabezpieczonego otrzymuje ze strony Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń 2 procent prowizyi. To też przyjmując na siebie agencyę, uczyniliśmy to w tym celu, aby te 2 procent wpływały do naszej kasy i utworzyły w ten sposób fundusz zapomogowy, z którego korzystaliby nasi koledzy, członkowie Towarzystwa samopomocy. Mamy pewność, że gdyby tylko wszyscy koledzy zechcieli zrozumieć nasz zamiar i przejęli się nim tak szczerze jak my, zebralibyśmy w krótkim czasie kwotę bardzo pokaźną. Przekonani też jesteśmy, że droga ta najprędzej i najpewniej do celu prowadzi, rozwiązując od razu całą kwestyę zabezpieczenia i stwarzając zarazem rodzaj kasy chorych dla lekarzy."

Kto jest „niegrzecznym"? Piszą nam z miasta:

W jednem z pism pod tytułem „Niegrzeczny koncertant" znajduję następujący opis zajścia, jakie zdarzyło się w Łodzi:

„Powoli coraz bardziej zaznacza się przeświadczenie różnych wirtuozów współczesnych, że publiczność winna im tylko entuzyazm bezgraniczny i hołdy uwielbienia wobec harmonii dźwięków, wydobywających się z rozpieszczonych gardziołków lub z pod paluszków owych mistrzów. Najlżejsza krytyka doprowadzała ich i doprowadza do nadzwyczajnego rozdrażnienia, ale to nie wystarcza im już obecnie i zaczynają wprost okazywać publiczności wybryki swego niepohamowanego gniewu i oburzenia, gdy duma ich nietylko obrażoną, ale choćby najlżej zadraśniętą zostanie. — Takiej impertynencyi dopuścił się tu p. Melcer wobec publiczności łódzkiej. Kilku panów podczas gry p. Melcera coś szeptało do siebie. Fortepianista tak się oburzył, że grę przerwał, a zerwawszy się gwałtownie — zszedł z estrady".

Tak pisze ów dziennik. Każdy jednak z bywalców koncertowych i teatralnych, który wie, jaką, wprost do rozpaczy doprowadzającą plagą widowisk publicznych są rozmawiający panowie i panie — musi doprawdy zapytać się, co miał nieszczęśliwy koncertant zrobić, skoro niecywilizowanem zachowaniem się wyprowadzili go z równowagi nerwowej i uczynili niezdolnym do wykonania utworu?

Rozumiem napiętnowanie obcego przybłędy muzykalnego, który dajmy na to publiczności język pokaże za to, że kogo innego oklaskują, jak to zdarzyło się w teatrze warszawskim, ale nie rozumiem oburzenia się na człowieka, który wraz z resztą publiczności był tylko ofiarą ludzi niecywilizowanych, źle wychowanych. Powiadam: razem z resztą publiczności — bo takie rozmawiające egzemplarze w pierwszym rzędzie są plagą innych widzów — a zwłaszcza najbliższych sąsiadów. Proszę sobie wyobrazić, że jestem w teatrze krakowskim dajmy na to na przedstawieniu sztuki Bahra „One". Za mną siedzi w krzesłach jakiś pan z panią i... bezustanku w sposób niesłychanie... inteligentny komentują to, co się dzieje na scenie, konstatując takie np. fakta: Ona: „Popatrz się, teraz wchodzi..." On: „I zdejmuje kapelusz..." Ona: „Ciekawam gdzie go położy..." Alboteż pomiędzy obojgiem wywiązuje się taka „psychologiczna" dysputa: Ona: „Czy też ona go kocha?"... On: „Ja myślę że nie". Ona: „A ja myślę że kocha". On: „Proszę cię! Gdyby go kochała, toby takich awantur nie robiła z powodu, że ktoś tam inny się ożenił". Ona: „A ja myślę że kocha. Bo popatrz się jak się o niego oparła"... — I tak bez przerwy jak dwa puszczone w ruch kołowrotki. Wreszcie zapalają się oboje, zaczynają się kłócić, i tracą wątek sztuki. A tymczasem ktoś inny wchodzi na scenę i rozgrywa się odmienny epizod. Za mną odzywają się całkiem już głośne okrzyki: On: „A to co znowu?" Ona: „Ja nic nie rozumiem". On: „I ja nic! Trzeba popatrzeć do afisza". Ona: „U ciebie jest afisz". On: „Przecież ty schowała" i sprzeczka wybucha na nowo. Wkońcu zniecierpliwiony i chcąc przecie słyszeć, choć trochę, co mówią na scenie, odwracam się i mówię możliwie najsłodszym głosem: „Prosiłbym też o trochę spokoju..."

Szepty poza mną przycichają, ale nie ustają, a dolatuje mnie z nich jeszcze taki dyalog:

Ona: „Co to za jeden?" On: „To jakiś bardzo niegrzeczny człowiek". — A tak prawdę powiedziawszy, kto tu nietylko jest „niegrzeczny", ale — jak to już się wyraziłem — wprost objawia brak cywilizacyi, polegającej na przystosowaniu się do warunków publicznych i na takiem skrępowaniu egoistycznych i nieinteligentnych swych popędów, aby innym nie robić niemi przykrości?

Muzeum narodowe dzięki znanej zabiegliwości dyrektora p. Ziemięckiego i Rady miejskiej, jak niemniej ofiarności Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, otrzyma obraz Hipolita Lipińskiego, znakomitego malarza rodzajowego, który nie był dotychczas godnie w zbiorach Muzeum reprezentowany.

Jednocześnie traktuje się sprawa dwóch wybitnych działów muzealnych, połączone z znacznemi fundacyami. Będzie to najlepszą odpowiedzią na osobiste uprzedzenia, górujące nieraz po nad poczuciem słuszności, a jak tu, po nad poczuciem dobra narodowej instytucyi.

Wpisy dzieci chcących korzystać z dobrodziejstwa kolonii leczniczej dla dzieci skrofulicznych w Rabce trwają od 1 kwietnia do 15 maja.

W tym celu zgłaszać się należy osobiście do biura wpisu będącego w kancelaryi szpitala św. Ludwika dla dzieci w Krakowie codziennie między 10 a 12 godziną rano, w którym to czasie zasięgnąć można wszelkich wyjaśnień. Biuro przyjęcia na listy i korespondencye odpowiadać nie zobowiązuje się.

Rozprawa apelacyjna w sprawie adwokata krakowskiego dra Caro i dra Drobnera z powodu wniesionego przez ostatniego z nich zażalenia nieważności przeciw zasądzającemu wyrokowi krakowskiego trybunału, odbyła się d. 2 kwietnia b. r. w najwyższym trybunale w Wiedniu. — Przy rozprawie bronił dra Drobnera adwokat dr Garfein z Krakowa, adwokat dr Caro stanął osobiście. Po pięciogodzinnych wywodach stron obu, przewodniczący radca dworu Bernanek odroczył rozprawę na dzień 3 kwietnia b. r. godzina 1 po południu, na której ogłosił wyrok zatwierdzający I instancyi w całej osnowie.

Wiec krakowski a „Słowo Polskie". Jak już wspomnieliśmy, „Słowo Polskie" zamieściło zupełnie z prawdą niezgodne sprawozdanie z środowego wiecu krakowskiego w punkcie zasadniczym, gdyż wedle telefonicznej, czy też telegraficznej wiadomości tego dziennika, wiec krakowski miał wszystkie rezolucye referenta odrzucić. Gdy zaś ani słówkiem nie wspomniano o pozytywnych uchwałach wiecu, więc wynikało z relacyi „Słowa", że wiec nie dał żadnego rezultatu, co przecież najoczywistszą jest i dla sprawy cieszyńskiej wielce krzywdzącą nieprawdą.

Sądziliśmy, że „Słowo" zostało przez swego korespondenta w błąd wprowadzone. Pokazało się, że tak nie było. Na wszelki sposób referent wiecu, w imieniu własnem i komitetu, czuł się powołanym do zwrócenia, w uprzejmym liście, uwagi redaktorom „Słowa" na wypaczenie uchwał wiecu. Stwierdzamy, że redakcya „Słowa polskiego" nie sprostowała dotąd tendencyjnie mylnej swojej relacyi z z wiecu krakowskiego, chociaż miała już wczoraj w ręku sprawozdania dzienników krakowskich.

Statystyka miast galicyjskich. Według wyników tymczasowych spisu ludności z dnia 31 grudnia z. r., mamy w Galicyi 93 miast i 223 miasteczek, 5.921 gmin wiejskich i 4.962 obszarów dworskich. Z biegiem czasu niektóre miasta wyludniły się i upadły tak dalece, że zaliczyćby je należało do gmin wiejskich, natomiast niejedna gmina wiejska urosła do tego stopnia, że należałoby właściwie uważać ją za miasto. Najwłaściwszą więc będzie rzeczą, gdy się oprzemy na liczbie ludności i wedle tej miary stwierdzimy, że obecnie istnieje w Galicyi prócz 2 miast stołecznych Lwowa i Krakowa, 7 miast z ludnością 20—50 tysięcy, 17 miast z ludnością 10—20 tysięcy, 61 miast z ludnością 5—10 tysięcy, 559 miejscowości z ludnością 2—5 tysięcy oraz 11.011 wsi i obszarów dworskich.

Na 7¼ miliona ludności w Galicyi przeszło 5·5 miliona mieszka na wsi i na obszarach dworskich, a przeszło 2·5 miliona mieszka w miastach, miasteczkach i miejscowościach powyżej 2.000 mieszkańców. W obu stolicach, w Krakowie i Lwowie mieszka przeszło ¼ miliona ludności, w 7 miastach liczących 20—50 tysięcy mieszkańców (Przemyśl, Tarnów, Stanisławów, Kołomyja, Stryj, Tarnopol, Jarosław) mieszka 218.000 ludności, w 17 miastach, liczących po 10—20 tysięcy mieszkańców (t. j. Drohobycz, Podgórze, Sambor, Nowy Sącz, Rzeszów, Knihinin polski, Złoczów, Gródek, Horodenka, Buczacz, Śniatyn, Brzeżany, Borysław, Chrzanów, Jaworów i Bochnia) mieszka 227.000 ludności; w 61 miasteczkach liczących po 5—10 tysięcy ludności mieszka 401.000 ludności, a w 559 miejscowościach, liczących od 2—5 tysięcy ludności mieszka przeszło 1·5 miliona ludności. — Razem przeto mamy 1,100.000 ludności w miastach wyżej 5.000 mieszkańców i 1·5 miliona ludności w miejscowościach, liczących od 2—5 tysięcy mieszkańców, nie będących ani miastem, ani wsią, lecz najbardziej w kulturze zacofanem gniazdem galicyjskiem.

W ostatniem dziesięcioleciu wzrost ludności miejskiej był stosunkowo najsilniejszym. Ludność Lwowa wzrosła prawie o 32 tysiące, Krakowa zaś prawie o 17 tysięcy. Liczba miast z ludnością od 20 do 50 tysięcy wzrosła o 2, przybył mianowicie do tej kategoryi Stryj i Jarosław, liczba miast z ludnością od 10 do 20 tysięcy wzrosła również o 2, przybył Chrzanów i Jaworów, liczba miasteczek z ludnością od 5—10 tysięcy wzrosła o 13, a miejscowości z ludnością od 2 do 5 tysięcy ludności o 90.

Z całego wzrostu ludności w Galicyi, wynoszącego 642.780, przypadło 466.000 na miasta, miasteczka i znaczniejsze miejscowości, a tylko 176.358 na wsie. Prawdziwie po amerykańsku wzrosła Schodnica, gdzie w przeciągu 10 lat ludność podniosła się z 983 mieszkańców do 4.264, a więc o 330%. Dębniki i Ludwinów wzrosły o 200%. Lwów powiększył się prawie o ¼ część, mianowicie o 24·8%.

Kraków ma mniejszy procent wzrostu, gdyż tylko 22·4% i liczy 91.310 mieszkańców, gdyby zaś do miasta naszego dołączono Podgórze, liczące 18.142 mieszkańców, wówczas Kraków z Podgórzem liczył 110.000, a z gminami przedmiejskiemi: Czarna Wieś, Grzegórzki, Krowodrza i t. d., liczyłby przeszło 130.000 mieszkańców.

Z miast większych najwyższy rozwój przedstawia Stryj z wzrostem 43% i ludnością blisko 24.000, oraz Stanisławów z rozwojem 32% i ludnością blisko 27.000. — Ponieważ obydwa Knihininy, polski i niemieck, faktycznie są z miastem bezpośrednio złączone, jakkolwiek administracyjnie rozdzielone, przeto Stanisławów z Knihininami liczy blisko 44 tysiące ludności i jest po Przemyślu największem miastem prowincyonalnem.

Przemyśl liczy 46.349 mieszkańców, w czem jest 8514 wojska. Kołomyja ma 34.188 mieszkańców, Tarnów 31.546, Tarnopol 30.368, Podgórze 18.142, Chrzanów 10170, Nowy Sącz 15.724, Rzeszów 14.714, Złoczów 12.209.

Cofnęły się co do liczby ludności dwa miasta, a mianowicie Brody o 1 prc. i Brzeżany również o 1 prc.

Z pomiędzy miast drugorzędnych Jasło podniosło się o 46%. Szybko wzrasta Jaworzno (38%), które liczy dziś blisko 10.000 mieszkańców, Rawa Ruska (38%) liczy również blisko 10.000 m., Żółkiew (25%) z ludnością blisko 9.000, Podwołoczyska (37%) o ludnością 5¼ tysięcy, Ułaszkowice (29 prc.) z ludnością 5⅛ tysięcy m.

Natomiast w upadku znajduje się Skałat, ubytek ludności 2·8%, Husiatyn ubytek ludności 5·6% i w największym upadku Zbaraż z ubytkiem ludności 6%. Te miasta przedstawiają wyjątkowy typ upadku.

Z miejsc klimatycznych najbardziej podniosło się Zakopane, które wykazuje wzrost 72%, ludności 5.250 m.

Ks. Stojałowski przenosi swoje lary i penaty z Cieszyna do Bielska. Donosi o tem w ostatnim numerze „Wieńca", dodając, że redakcya i wydawnictwo tego pisma już znajdują się w Bielsku.

Wypadek na kolei. W środę, na drodze między Kopeczyńcami a Chorostkowem, przerwał się pociąg mieszany, przyczem jeden wagon wyskoczył z szyn. Nikt z pasażerów nie poniósł szwanku na zdrowiu. Pociąg, który nadjechał z przeciwnej strony, musiał blisko na cztery godziny powstrzymać swoją jazdę.

O nowym biskupie płockim nominacie dzienniki warszawskie podają następujące szczegóły biograficzne:

Ks. Jerzy hr. Szembek urodził się dnia 14 czerwca 1851 r. w Ujściu na Podolu, jako trzeci z rzędu syn ś. p. Józefa hr. Szembeka, właściciela dóbr Lewada i jest po kądzieli wnukiem wielkiego patryoty Piotra hr. Moszyńskiego, marszałka szlachty gub. wołyńskiej, radcy m. Krakowa i wnukiem po mieczu Józefa Szembeka z Poremby, kapitana wojsk napoleońskich i radcy b. departamentu krakowskiego.

Nominat kształcił się zagranicą, uczęszczając do uniwersytetów w Krakowie i Wiedniu, gdzie ukończył wydział prawny. Mając przeszło lat 30. wstąpił do seminaryum tyraspolskiego w Saratowie, które ukończył przed 10-ciu laty, a w którem następnie został profesorem. Przez cały czas swojego pobytu na probostwie saratowskiem zjednał sobie parafian, zarówno Polaków jak i Niemców, gorliwością pasterską, uprzejmością i ofiarnością zarówno na seminaryum duchowne, jak i na potrzeby tamtejszego kościoła i parafii. Utrzymanie szkółki parafialnej w jej bycie prawnym, to również zasługa starań ks. Jerzego Szembeka.

Meeting sług. W Londynie odbył się meeting olbrzymi służących w Hyde Parku. Kilka tysięcy lokajów, pokojówek, kucharzy, stangretów brało w nim udział. Wszyscy wyłuszczali swoje skargi i pretensye. I tak: jeden z lokajów żalił się, że codziennie musi czyścić rower, pokojówka oskarżała swą panią za to, że sprzedaje stare suknie, zamiast rozdawać je pomiędzy służące. Inni w długich przemowach uskarżali się na skąpstwo państwa, przez co piją złe whisky i palą szkaradne cygara. Słowem — wobec tylu słusznych powodów do skarg, należy spodziewać się najfatalniejszych skutków.

Podobny meeting ma się odbyć w Krakowie na Rynku głównym przed pomnikiem Mickiewicza.

Stan zdrowia kardynała ks. Ledóchowskiego. Jeden z księży jubilatów z dyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej, którzy dnia 25 marca b. r. obchodzili 25-letni jubileusz kapłaństwa, otrzymał list z życzeniami i błogosławieństwem ks. kardynała hr. Ledóchowskiego, pisany przez kapelana jego ks. kanonika Meszczyńskiego, gdyż ks. kardynał dla choroby oczu sam pisaniem zajmować się nie może.

„Chętnie byłby ks. kardynał — donosi ks. Meszczyński — własnoręcznie odpisał, ale Bóg nawiedził go prawie zupełną ślepotą, która eminencyi obecnie wszelkie czytanie i pisanie uniemożebnia. Chwilowa to wprawdzie ślepota i mamy w Bogu nadzieję, że za kilka miesięcy, skoro do operacyi katarakty, która na obu oczach się zawiązała, przystąpić będzie można, ks. kardynał wzrok zupełnie odzyska".

Nowym generał-gubernatorem warszawskim, wedle wiadomości, podanej wczoraj przez jeden z dzienników krakowskich, miał zostać generał adjutant Czertkow. — Natomiast „N. fr. Presse", zwykle dobrze informowana w sprawach, tyczących Rosyi, powtarza, za „Berl. N. Nachrichten", że najwięcej szans zostania wielkorządcą w Warszawie ma generał adjutant Trockij, obecny generał gubernator w Wilnie.

Chiński elegant. Ażeby zostać szykowcem w Chinach, przedewszystkiem trzeba mieć genealogiczne drzewo, sięgające co najmniej tysiąca lat. W Chinach więcej, niż gdzieindziej, zwracają uwagę na przysłowie: „Jak cię widzą, tak cię piszą". Dlatego eleganci chińscy stroją się nadzwyczaj wspaniale.

Suknie ich są haftowane złotem i drogiemi ka-

Z Nowej Drukarni Jagiellońskiej w Krakowie (ul. Jagiellońska Nr. 10). Rządca drukarni L. K. Górski.